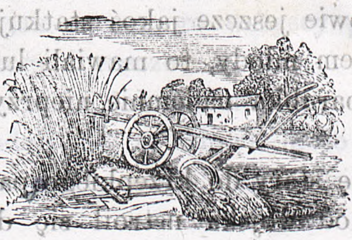
Tom I. 21. Stycznia 1870. Nr. 3.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wilia Bożego Narodzenia.

Opowiedział Stach z Mogiły.

— Idźno Franuś powiedz mamuni, że zeszły już gwiazdy i czas by już pono wieczerzać — rzekł Wojciech Skiba do chłopca, spoglądając przez okno na wyiskrzone niebo. Usłużny Franuś pobiegł czemprędzej do piekarni, kędy się raźno krzątała gospodyni koło komina, przygotowując smaczną wieczerzę; Wojciech zaś tymczasem zaścieliwszy starym zwyczajem snop słomy na stole, nakrył go bielutkim obrusem i jął gadać ze staruszkiem ojcem, który siedział na ławie w kącie izby.

— Siądźcie no sobie tatuniu bliżej komina, boście to wy nie młodzi a setny mróz na dworze, zagadnie Wojciech.

— Oj, prawda, prawda, żem nie młody, odrzeknie staruszek. Tać-to już więcej niż ośmdziesiąt lat człowiek żyje na tym świecie z łaski pana Jezusa, ale ponoś to już nie długo tak się pociągnie.

— Co-też wy gadacie tatuniu! Dziękować panu Bogu zdrowie wam jeszcze statkuje, to zkądże wam znowu takie myśli do głowy?

— Niech się dzieje Jego wola święta — rzeknie na to staruszek — Zdrowie jeszcze jakoś statkuje i to prawda, ale bo też kiedy byłem młody, to mawiali ludziska że nie było we wsi tęższego parobka nademnie, nieprzymierzając jak nasz Jontek.

Tu zwrócił się stary do krzepkiego parobczaka, który, że niedawno wrócił od wojska ustroił się do wilii w ułański kubrak i właśnie wszedł do izby nie pochwaliwszy nawet Pana Boga.

— A gdzieżeś to ty Jontku tak zmądrzał na świecie, żeś zapomniał nawet chwalić Pana Boga? obruszy się na to dziaduś. Ho ho! — tać to i ja sługiwał przy wojsku i to przy polskich ułanach, natłukłem się dużo po świecie, ale co chwalić Pana Boga tom nigdy nie zapomniał; to też nam się szczęściło, a łaska Jego Przenajświętsza nie dała nam nigdzie marnie zaginąć.

Zasumował się Jontek na takie powiedzenie dziadusia i nie rad żeby drudzy jeszcze o tem gadali, odezwie się prędko:

— Owa, tacyście tam pyszni z tego, żeście sługiwali przy ułanach, a dyć to mnie nie dziwne, bo i ja dopiero łońskiego lata wrócił od wojska

— A juźciś żem pyszny! — wtrąci żywo dziadek, — bo to ja sługiwałem pod panem naczelnikiem księciem Józefem Poniatowskim, co to był sławny wojak na świat cały. A wojowałem ja ci z nim nie dwa, nie trzy razy — a ty co nawet nikaj nie byłeś na wojaczce, jeno cię nauczyli: halb rechts! chciałbyś już tu nam starym przewodzić! Patrzcie go jaki mi zuch!

Powiedziawszy to sparł się na ręce i zadumał się głęboko, gdy tymczasem Jontek, okrutnie zewstydzony, schował się za piec, bo i Jagusia młodsza córka Wojciecha, do której chodził w zaloty, jęła się śmiać z jego gadania.

Lecz skoro tylko Franuś zasłyszał, że dziaduś coś wspomnieli o panu naczelniku i o polskich ułanach — poskoczy czemprędzej do niego i nuż prosić go, żeby mu co o tej wojaczce opowiedział, bo strasznie lubił gadki o polskich wojakach.

— Dyć ja już stary Franusiu, — rzeknie na to dziadek — pamięć mi nie statkuje, to i opowiadać już zabaczyłem.

Ale jak Franuś wyskoczy dziadkowi na kolana i pocznie mu się przymilać, jak zaczną go wszyscy prosić, tak zmiękczył się wreszcie stary i rzecze:

— Ha, no, niechże i tak będzie.

Wszyscy posiadali na te słowa koło dziadusia, cicho zrobiło się w izbie jakby mak siał, dziadek więc zacznie w ten sens:

— Musieliście już pewnie słyszeć, że gdyPolskę, naszą Ojczyznę, co to dawniej sięgała od morza do morza, źli sąsiedzi pomiędzy siebie podzielili, znalazł się przecie wielki wojownik, który się ulitował naszej nędzy i odebrawszy Prusakowi kawał zabranego kraju wraz z miastem Warszawą, gdzie dawniej nasi królowie mieszkali, oddał to Polakom, i nazwał Księstwem Warszawskiem. Maleńkie to było, to prawda, ani porównać do naszej dawnej potężnej Polski, ale cieszyliśmy się, że choć tyle nam z naszej Ojczyzny zostawili. I wszystko już dobrze się składało, nie przymierzając, jak w zagrodzie uczciwego gospodarza, aliści wnet i tego pozazdrościli nam owi niedobrzy sąsiedzi Wnet wpadł Austryak z ogromnem wojskiem do kraju, i dalej zabierać jedno miasto po drugiem. Biedził się nasz pan naczelnik książe Józef Poniatowski, jak tu poradzić z garstką naszych tej szarańczy, co na biedny kraj spadła. Aż na ostatek myśli: ha! kiedy już tak pan Bóg dopuścił to niechże sobie tu nieprzyjaciel gospodaruje, a my tymczasem wpadniemy do tej części Polski, którą Austryak już dawniej zagarnął, a która się zwie Galicyą, to go może tem zmusimy że powróci bronić swego kraju, a tak przestanie nas tu uciskać i trapić. Nie było innej rady, zebrał więc swoje wojsko i ruszył do Galicyi. Zanim się Niemcy zmiarkowali gdzie się podział nasz pan naczelnik z całem wojskiem, aż tu dowiadują się że on już w Galicyi, i że pozabierał im już co największe miasta jak Lwów, Kraków i inne. Na życie się tego nigdy nie spodziewali, przestraszyli się więc tak okrutnie, że jęli uciekać jak błędne owce, kędy się tylko nasze wojsko pojawiło. Ludziska radowali się z tego wszędy i wykpiwali przestraszonych Niemców; ale co już najwięcej termedii to nasze polskie ułany z niemi dokazywali. Bo też to były

między nami tęgie chłopy, a osobliwie jeden, co miał takie ogromne wąsy, panie odpuść, jakgdyby dwa wiechcie! Nazywał on się Jaszczułt i był wachmistrzem przy naszych ułanach.

Oj, dużo jabym wam mógł przeróżnych ciekawych historyi o nim opowiedzieć, aliście już pono Skibina daje wieczerzę, to chyba jutro dokończę.

— Ej, dziadusiu, zaczną wszyscy prosić, dyć matusia jeszcze wieczerzy nie przyładzili, to powiedzcież nam jeszcze co o tym panu Jaszczułcie.

Drożył się stary, ale wreszcie nałożywszy fajeczkę i łyknąwszy kilka razy, tak jął dalej prawić:

— Będzie temu już akurat lat 60, kiedyśmy sobie stali pod Tarnopolem, hen jeszcze tam za Lwowem i każdy dzień spodziewaliśmy się bitki z Austryakami, co także niedaleko nas stali na kwaterach ze swoim jenerałem Bikingem. Było to jakoś z początkiem lipca, kiedy raz w nocy, czyto dla wielkiego gorąca, czy może, że zamyśliłem się o mojej chacie i rodzicach, których doma samych zostawiłem, żadną miarą usnąć nie mogłem. Sparłem tedy głowę na kulbace i gdy sobie tak dumam i dumam, raptem trącił mnie ktoś w bok i zawołał: wstawaj bracie! Okrutnie się zrazu przeląkłem, myśląc, że nas już Austryacy napadli; patrzę więc, aliści to pan Jaszczułt, którego wnet po wąsach poznałem.

Dziwno mi było czego on chce odemnie, ale zanim gębę otworzyłem, on mię wziął za ramię i zaprowadził w krzaki, kędy już stał wóz zaprzężony, a włożywszy mi lice do ręki, siadł za mną jeszcze z drugim ułanem.

— A kajże-to pojedziemy? pytam ja wreszcie pana wachmistrza, bo nic jeszcze nie miarkowałem, co z tego będzie.

— Do Załoszczyk.

— A na rany pana Jezusa! Dyć tam siła Niemców — jak nabił. Jak nas zobaczą, to pochwytają i powieszą wszystkich na jednej gałęzi.

— Jedź! powtórzył ostro pan wachmistrz, — a ostrożnie! Skoro zaś podjedziesz do wsi, weź się k'sobie i skręć w brzezinkę.

Aż mnie ciarki porwały na takie powiedzenie. Przeżegnałem się trzy razy i zacząłem w cichości: „Kto się w Opiekę“, lecz nie było rady. Zaciąłem konięta i ruszyliśmy z kopyta choć ręce mi dygotały jak w chorobie. Jechałem jak przykazał pan wachmistrz i nie długo skręciliśmy brzezinkę, ale dla ciemnej nocy, że oko wykól, nie można było ani rusz dalej puszczać się w gęstminę. Kazał więc pan wachmistrz przywiązać konie do drzewa, a nam iść za sobą.

Przedzieraliśmy się cichaczem przez gęstwinę i dopiero teraz zmiarkowałem, że chyłkiem podchodzimy pod obóz Austryaków. Wnet też myślę ja sobie: oho! pan Jaszczułt pewnikiem już wyprawi znowu coś Niemcom na despet. Zaledwie to pomyślałem już i wleźliśmy przez płot do jakiegoś sadu. Pan wachmistrz kazał mi zatem stanąć tu przy wrotach, a z drugim ułanem poszedł prosto do chałupy, kędy spał sam jenerał austryjacki Biking. Cichuteńko było dokoła, wszyscy spali w najlepsze a nawet warta zdrzemnęła, ale mnie przecie zebrał lęk okrutny, zacznę więc szeptać sobie pacierze. Tymczasem pan Jaszczułt wpadł do izby i pochwycił jenerała. Biedne Niemczysko oniemiało ze strachu na widok naszych ułanów; ci jednak nie robiąc mu żadnej przykrości, zawinęli go w kołdrę, tak że jeno pięty wystawały i dalejże z nim uciekać.

Porwaliśmy go tedy na plecy i przez ogrody i płoty wnet dostaliśmy się do gęstwiny, kędyśmy nasze konie zostawili. Na ostatek przypadliśmy także szczęśliwie do naszej fury, położyliśmy jenerała zawiniętego w kołdrę pod słomę, i już myślimy z nim do swoich powracać, gdy wtem pan Jaszczułt rzecze 5

— A niechże cię! Ta-że widziałem w izbie u jenerała prześliczny zegarek na ścianie i zabaczyłem go w pospiechu z kretesem. Zaczekajcie no chwilę, a ja w mig tu powrócę.

— Na miłość Boską! panie wachmistrzu — zacznę ja na to prosić, — uciekajmy do swoich, bo dalibóg jeszcze zbudzą się Niemczyska i narobią nam jakiej psoty.

Ale gdzie tam. Jeszcze tych słów nie domówiłem a już nie było pana Jaszczułta, który w skok pobieżał do chałupy

za owym zegarkiem i jeno gdzieś wrona brzydko zawrzeszczała w tej chwili zbudzona szelestem jego kroków. Okrutny mnie zebrał lęk na to, bo też rychtyk zaledwie przemówiłem jedno „Zdrowaś Marya“ słyszymy jeden strzał i drugi, a potem ogromny krzyk i uganianie po całym obozie. Widocznie pobudzili się Austryacy i dopiero teraz zmiarkowali jakiśmy im despet wyrządzili. Wnet też zaczną gonić na koniach na wszystkie strony. W tej chwili przypadł i pan Jaszczułt do fury nic nie wskurawszy, ja więc zatnę koniki i pędzimy tak co ino. Ale nie było rady —; już nas Niemcy obskoczyli prawie ze wszystkich stron a tak musieliśmy puścić z panem Bogiem porwanego jenerała, który teraz dopiero jął się z nami okrutniej targać i zatrzymywał nas tylko w drodze. Niemcy odzyskawszy swojego jenerała nie ścigali nas już tak natarczywie, a żeśmy właśnie wyjechali na dobrą drogę, pognaliśmy co tchu do swoich, wyszedłszy prawie cudem Boskim bez szwanku z tej przygody.

Tak to — tak — kończył dziaduś — łakomstwo nigdy do dobrego nie doprowadzi. Westchnął głęboko na wspomnienie tych dobrych czasów i umilkł. Jontek nie mógł się wydziwować i jeno głową pokręcał, Franuś zaś i Jagusia siła mieli uciechy z tej gadki i radziby jeszcze od dziadunia co ciekawego usłyszeć, ale w tejże chwili weszła do izby Skibina z misą gorącego barszczu, a wziąwszy opłatek poświęcany w rękę, ażeby się nim przy tej swiętej uroczystości ze wszystkiemi podzielić i przystąpiła najpierw z uszanowaniem do dziadusia, poczem podzieliwszy tym chlebem świętym i z innymi, zasiedli wszyscy do wieczerzy.

Spokojna śmierć dwojga sprawiedliwych.

Zdarzenie prawdziwe.

Przy samej granicy Wołynia, leży Podkamień, starożytna osada z klasztorem wspaniałym OO. Dominikanów na skale zbudowanym, w którym mieści się wizerunek Bogarodzicy cudami wsławiony, a tysiące pielgrzymów pobożnych corocznie

składa tu hołd czci i wdzięczności Panu i Stwórcy swojemu. Zdawałoby się, że w miejscu cudownem, sami święci ludzie założyli mieszkania swoje. Stało się atoli przeciwnie. Nigdzie bowiem mniej nie przestrzegają siódmego i dziesiątego przykazania bożego, jak tutaj. Dla tego też niniejsze opowiadanie stanowi szczególny wyjątek, mogący zbudować tak tutejszych jako też i postronnych mieszkańców.

W sześć lat po pierwszym rozbiorze Polski, urodził się tu Mateusz Miklasiewicz z rodziców ubogich, którzy tę jedną a zbawienną naukę udzielić mu mogli, że człowiek przy zdrowiu i bojaźni bożej, z pracy rąk własnych życie swoje utrzymać może. To też za młodu wyuczywszy się bednarstwa, pilnie unikał rozpusty młodzieży bezbożnej. Nie zaprawiał się do trunków, lubo miał do tego sposobność; jeno uczęszczał do kościoła, gdzie wzniósłszy oczy i serce do wizerunku Maryi, przejmował się pokorą i uległością woli Tego, który włada całym światem. Szedł tedy drogą prawą, — nie budował zamków na lodzie, — nie pragnął rzeczy niepodobnych, w pracy tylko, całe swe szczęście pokładał. Ztąd też poszło, że długo wahał się założyć ognisko rodzinne, gdyż pojął Maryannę Iłowską o piętnaście lat młodszą od siebie za żonę. Była to osoba nadzwyczaj ruchliwa, dokuczała mu często; a przecież nikt nie słyszał swarów w jego chacie; słowa marnego nigdy jej nie powiedział, — łagodnością swoją poskramiał niewczesne zapędy swej towarzyszki.

Żona jego nie miała złego serca, ale ciągła praca i liczne potomstwo, które na świat wydała, czyniły ją drażliwą. To też uwzględniając jej słabość, gdy mu czasem dokuczyła, nawet się nie skrzywił, aby jej większego nie dodawać ciężaru. A z jaką on troskliwością te dzieci chował, jak one zawczasu naginał ku bojaźni bożej i miłości bliźniego, — jak starannie każdy poczciwy zarobek niósł do chaty, aby ta dziatwa głodno i boso nie chodziła, dotąd jeszcze wspominają. — Kilkoro tych dziatek, które on wychuchał, wykarmił i wypielęgnował, gdy Bóg do siebie wcześniej powołał, nie sarkał na niezłomną wolę jego, — cierpliwością wzorową uzbrojony towarzyszył tej dziatwie aż do grobu, powtarzając ciągle słowa staroza-

konnego utrapieńca: Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie imię jego błogosławione.

Cnoty te domowe zwróciły uwagę całej gminy do tego stopnia, iż gdy razu pewnego obierano wójta, wszyscy swoją życzliwość ku niemu skłonili, prosząc go, żeby się nie uchylał od kierownictwa sprawami całej gromady, kiedy tak przykładnie umiał zarządzić domem swoim. Był tedy wójtem i cechmistrzem razem i do wzbogacenia się miał pole otwarte. Lecz on wzgardził krętarstwem, — nie wiązał się ze złodziejami, — sprawiedliwej trzymał się drogi. W kościele spiewał rożaniec, w domu nabijał obręcze na beczki i konewki, a w zawodzie publicznym stawał w obronie praw uciśnionej podówczas gromady. Zawsze jednakowy, ani większy, ani mniejszy, zdzierstwa jako krzywdy ludzkiej, która nikomu jeszcze na dobre nie wyszła, wszelkiemi siłami unikał. Dla tego też gdy złożył swe urzędowanie, każdy widział, że jak był, tak został ubogim; skromna chata z ogrodem niewielkim całe jego bogactwo stanowiła. A jednak w tej mizernej chacie, był on bardzo szczęśliwy, gdyż od dzieciństwa przyzwyczaił się na małem przestawać, — zbytku nie znał, a potrzeby swe umiał ograniczać, co też właśnie jedyną jest podstawą mądrości życia ludzkiego.

A jako sprawiedliwi śmiało patrzą w ten punkt ostatniej mety pielgrzymowania doczesnego; tak i on przeczuwając koniec swego życia, kazał sobie zrobić trumnę i cichaczem ukrył na strychu. Razu pewnego wylazła żona jego na strych i spostrzegła niezwykłą skrzynię, która ją wielce zadziwiła. A jako prędka przez całe życie, zlazłszy ze strychu zawołała: Mateuszu! chcesz się mię pozbyć, kiedyś trumnę dla mnie sprawił. Nie! moje serce, twojej śmierci nie pragnę; ale ja muszę się wybierać po zapłatę do tego Pana, któremu całe życie wiernie służyłem. Otóż jak widzisz, chciałem ci tylko ułatwić sprawienie mi pogrzebu. Wzięła ona sobie te słowa do serca i podobnież cichaczem kazała dla siebie przysposobić trumnę i na strychu ukryła, aby również mężowi ułatwić koszta pogrzebu swego. Stały tedy trumny na strychu przez lat kilka, dnia zaś 16 maja 1863 roku starowina Mateusz

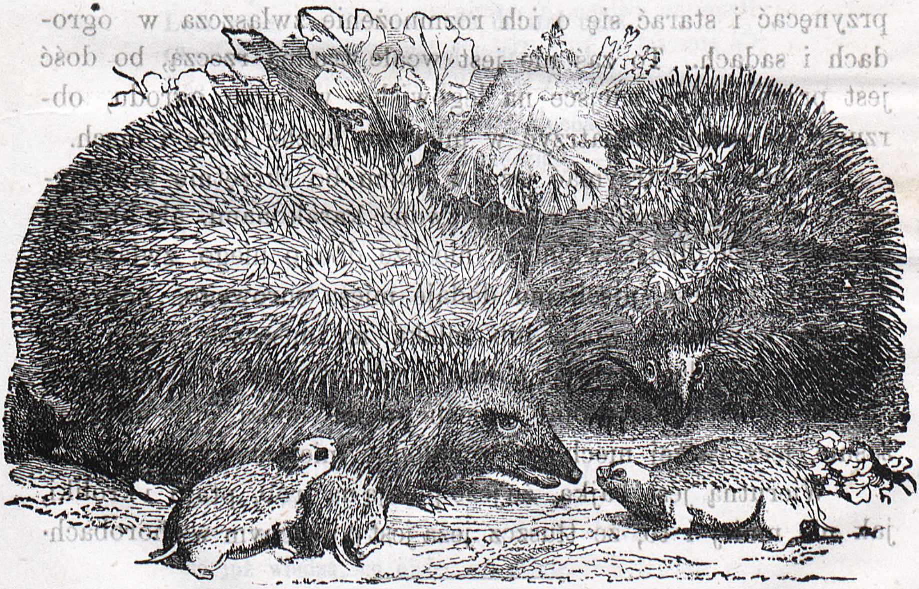
wcale nie chorując, wieczorem siadłszy przy okienku, mówi do żony: moja Marysienko coś mi się drzymie. I zdrzymał się do snu wieczności. Zwołała ludzi Marysienka, a gdy Mateusza na katafalku złożono, ona powiada do ludzi: coś mi się na sen zbiera. Układła się do łóżka i więcej nie wstała. Nazajutrz oboje leżeli na katafalku; dwie trumny wniesiono do kościoła, a po nabożeństwie żałobnem, pochowano ich razem w jednym grobie.

Tak żyją i umierają sprawiedliwi, a pamięć ich przechowuje się w późnej potomności.

Wincenty z Pokucia.

Słówko o zwierzęciu wielce pożytecznem.

Wielce pożytecznem zwierzęciem jest przedstawiony na rycinie jeż.



Z pomiędzy wszystkich zwierząt ssących w naszym kraju on jeden tylko ma ciało okryte kolcami. Kolce te mają półtora cala długości i są czarno obrączkowane. Tylko brzuch, nogi i pysk jeża nie są okryte kolcami lecz włosami. We dnie jeże przesiadują pod chrustem, pod płotami i w zbożu, a dopiero w nocy, zwłaszcza przy świetle księżyca, wychodzą na

łowy. Jedzą wszelkie owady i chrząszcze, poczwarki, ślimaki bez skorup, glisty, myszy, węże, żaby, ropuchy, żmije. Jad żmii przyprawiający człowieka często o śmierci, jeżowi wcale nie szkodzi.

Utrzymują niektórzy, że jeże wyłażą na drzewa, strącają jabłka, potem taczają się po nich i zabite na kolce zanoszą do swego gniazda; lecz czy to prawda, niewiadomo. bo nikt tego jeszcze na własne oczy nie widział a to pewna, że jeż nie umie łazić po drzewach. W chwili niebezpieczeństwa jeż zwija się w kłębek i mocno kolce najeża; tak zaś zwiniętego pies, ani żadne inne zwierzę nie odważy się poruszyć. Całą zimę jeż przesypia w swojem legowisku nie ruszając się ani jedząc i budzi się dopiero z wiosną

Wytępiając niezliczone mnóstwo szkodliwych owadów i innych zwierząt, jeże są niezmiernie pożyteczne. Dlatego nie godzi się wytępiać je lub płoszyć, owszem powinniśmy je przynęcać i starać się o ich rozmnożenie zwłaszcza w ogrodach i sadach. To zaś nie jest wcale trudną rzeczą, bo dość jest przysposobić miejsce na legowisko w kącie ogrodu, obrzucić cierniem, zaopatrzyć w mierzwę, suche liście i mech.

Dobrze jest trzymać jeża w domu bo skrzętnie łowi myszy i wyłapia brzydkie robaki zwane karakonami, ale kto ma u siebie jeża obłaskawionego, niechże dba o niego, zwłaszcza. aby miał co jeść, niech mu dodaje mięsa surowego, pokrajanego w kawałki i wody lub mleka na miseczce, niech mu wygodne urządzi legowisko, niech cebrzyki na noc nakrywa, aby się w nich nie utopił i niech go nie budzi gdy na zimę zaśnie, lecz raczej niech go w chłodne miejsce wyniesie.

Wierutną jest bajką, że jeże polują na drób, ptaki i króliki, jak nie mniej i to, że tłuszcz jeża jest pomocnym w chorobach·

Złote ziarna.

Ach, próżnemi i prace i troski i rady,
Nie zakwitną te pola, nie wzrosną posady,
Jeśli kiedy ziomkowie w jakiejkolwiek chwili,
Zapomną czem być winni, zapomną czem byli.

Żebrak

przez Franka z nad Lipy.

W maleńkiej chatce o bielonych ścianach
Siadł wieśniak. Przy nim na dębowej ławie
Siedziała żona, a na jej kolanach
Mrużąc oczęta — zasypiając prawie,
O pierś matczyną dziecię główkę tuli;
A nieco dalej u nóg ojca kołem
Jak wianek siadło troje dzieci społem:
Z nich jedno trzyma się sukni matuli,
Drugie w pośrodku, a chłopczyna mały
Przy ławie — wszystkie w twarz ojca patrzały.

Wieczór był ciemny, tylko na kominie
Kilka się małych trzasek dopalało,
A tam na dworze w tej późnej godzinie
Coś niby wicher zdaleka szumiało.
Lecz szum ten dzieciom nie dolatał ucha,
Chociaż potrząsał i oknem i drzwiami,
One gdzie indziej goniły myślami —
Z nich każde pilnie mowy ojca słucha,
I jako wszystkie w półkolu siedziały —
W twarz ojca niby w łuk tęczy patrzały.

A ojciec prawił o zaklętym dworze,
O pięknej jakiejś wśród zamku królewnej,
Albo o złotym mówiącym jaworze,
Lub o płaczącej wierzbie, lipie śpiewnej,
O zamku z soli — i cudach na ziemi,
Które się niegdyś dość często zdarzały.
A dzieci wszystkie tak pilnie słuchały,
Iżbyś powiedział, że myślami swemi
Patrzą w myśl ojca, i nim ją da w słowie,
One już wiedzą, co ojciec im powie.

Było tam szczęście.... Szczęście? ach! cóż z tego
Szczęście to tkanka, którą pająk snuje:
Niech tylko wionie prąd wiatru silnego,
Wnet całą tkankę pajęczą rozpruje,
A biedny pająk spędzony z swej siatki
Z strachem ucieka ku ramom swej tkanki,

Siada na ścianie wieśniaczej lepianki
I z żalem patrzy na nitek ostatki:
Tak człowiek często dziś wesoły, hoży,
Jutro po przeszłem szczęściu płakać może.

W majowym ranku zanim słońce wstało,
Zanim się jeszcze ptaszki pobudziły,
We wrotach chatki nagle zaskrzypiało
I psy w podwórzu zbudzone zawyły.
Wyszedł gospodarz, chociaż w wieku sile,
Lecz z głową smutnie ku ziemi schyloną.
Czemuż sam idzie? nie z dziećmi? nie z żoną?
Zkąd tyle smutku — zkąd mu bolu tyle?
Powolnym krokiem w wązką ścieżkę goni,
Co krętym biegiem wije się po bloni.

Przeszedł już łąkę, wstąpił na pagórek,
Gdzie kilka topol i lipy w rząd stały
Rzucając cieniem na szczerbaty murek,
Co sterczał w koło wiekiem poczerniały.
Wieśniak wyłomem przeskoczył ogrodę
I stanął — przed nim tysiączne mogiły
Z łona zieleni skroń swą podnosiły,
A na nich rosły wiosny kwiatki młode.
Ale on kwiatków nie szuka w ustroni,
Lecz wprost przez groby ku dwom brzozom goni

Tam na mogile stoi krzyż drewniany,
Szeroko niosąc swe szare ramiona,
Przy nim trzy małe krzyżyki, zatkane
Do usypanych trzech mogiłek łona.
Tu ukląkł wieśniak, o ziemię sparł czoło
I długo milcząc tak leżał na ziemi.
Czy ssał woń z fiołków, co oczki sinemi,
Z tła się zieleni patrzały w około?
Czy słuchał może, jak wiosną darń rośnie? —
Nie wiem, lecz nagle zaszlochał żałośnie.

O bo jak nie ma zawodzić ni szlochać,
Gdy pod tą ziemią skarb życia położył?
On ich nie przestał i za grobem kochać,
Lecz owszem grób mu miłości przysporzył.
Pochował żonę, za nią dzieci czworo —
Wszystkie, co niegdyś słów jego słuchały.

Jemu dziś tylko łzy żalu zostały.
To też codziennie zawsze ranną porą
Chodzi na groby, tu o szczęściu marzy
Jakby u bóstwa złoconych ołtarzy.

Daleko za wsią w karczmisku za stołem
Trzech ludzi siedzi: Z nich jeden o ścianę
Oparty głową; a puhar wciąż kołem
Z ręki do ręki obiega nalany.
Dwaj co po rogach siedzieli przy stole,
Snać nic nie myśląc gwarzyli wesoło
I puhar pełny podawali w koło.
Trzeciemu myśli snuły się po czole,
Bo je gwałtownie rękami pocierał
To je podnosił, to na dłoni wspierał.
Wszak to nasz ojciec — sierota z cmentarza
W gronie wspólników przy pełnym puharze,
Jeden za drugim kielichy powtarza,
A twarz mu płonie niby w ognia żarze.
— Hej. żydzie, wódki! — zakrzyknął zbudzony.
— „Nu hersty za co? — wszak nic już nie macie?"
— Weźmiesz koszulę! — Na zdrowie ci, bracie!
— Za wasze zdrowie!... kufel wypróżniony.
— Żydzie, daj świeżej! — „Już niema!" — Co!., niema?..
Wstał — i padł pod stół — błysnąwszy oczyma

Tak stracił najprzód chudobę i zbiory,
Które od kilku lat chował w stodole,
Później, co było w domu — lub z komory,
Wreszcie dom sprzedał, ogród, łąkę, pole,
I odtąd mieszkał wciąż w karczmie u żyda.
Zrazu weselej mijały dnie jego,
Aż w końcu, gdy już nie było żyć z czego,
Ku ziemi troską przygniotła go bieda.
I tak rozpacz go zawiodła w bezdroża,
Ale dla grzesznych wielka łaska boża.

U drzwi cerkiewki, co trzema wieżami
Wcisła się między smutnych brzóz konary,
Na kupie cegieł odziany szmatami
Z lirą u boku siedzi żebrak stary.
Biały włos z długich złożony kędziorów
Z pod kapelusza pada strzępionego,

A zamiast sukni od ramion się jego
Ku ziemi ścieli płaszcz zeszyty z worów,
Na cegłach kostur, towarzysz tułacza,
Garść zmiętej słomy i torba żebracza.

W cerkiewce cichły korne ludu spiewy
W dzień odpustowy do Boga wznoszone,
Msza się skończyła: matki, chłopcy, dziewy —
Wszystko z bram cerkwi wychodzi skruszone.
Lecz nikt wyszedłszy do domu nie wraca,
Tylko tłumami stają koło dziada,
Przy kupie cegieł; on lirę układa
Pod ramię, puszcza w ruch palce, obraca
Korbę, z dna liry smętną dumkę budzi,
A z własnej piersi pieśń czerpie dla ludzi,

Pieśń taka rzewna, taka smutna była,
Że tłumy ludu stojące do koła
Gdy je do głębi smętkiem rozrzewniła,
Płacząc ku ziemi pochylały czoła,
Lecz co dziwniejsza, skończywszy pieśń całą
Żebrak łachmanem otarł łzy w źrenicy;
Snać pieśń trysnęła z serca tajemnicy,
Ukołysanej pod pieśnią zgrzybiałą.
O biedny lirnik! on się w pieśni skarżył,
A lud go za nią jałmużną obdarzył.

Tak w każde święto, tak każdą niedzielą
Tłumy go ludu otoczą dokoła,
Zawsze łzy z oczu po licach się ścielą,
Bo żadna z jego pieśni nie wesoła.
Zawsze tęskniący, zawsze rozrzewniony
Z dna liry takich dźwięków wydobywa,
Że dźwięk ten serce i duszę porywa,
Jakby był w piersi lirnika zrodzony.
Tak rok po roku nad wioską upływał,
A lirnik zawsze u drzwi cerkwi spiewał.

Dzień był świąteczny — drugi Wielkiej nocy,
Tłumy się ludu przed cerkwią zbierały:
A w rękach mnóstwo żółtych świec migoce,
Już się i krzyże z cerkwi ukazały;
By ruszyć w pochód gotowi są wszyscy,
Chcąc według dawnych zwyczajów w tej dobie

Ruszyć na smętarz; tam na każdym grobie
Zmarłych z rodziny krewni albo bliscy
Kilka pacierzy odmówią do Boga,
By ich dopuścił do niebiosów proga.

Pochód gotowy — czekają plebana,
Lecz gdzież się lirnik z pod cerkwi obraca?
Wszakżeż codziennie z modlitwami zrana
Na kupę cegieł pod cerkiew powraca,
Dziś już południe a lirnika niema!
Każdy zdziwiony żebraka wspomina.
Wtem u drzwi cerkwi nowy ruch się wszczyna:
Wyszedł ksiądz pleban z spiewakami trzema
I pochód ruszył ku stronie cmentarza —
A każdy z cicha modlitwy powtarza.

Przyszli na smętarz. U wejścia samego
Pleban odmówił za zmarłych pacierze,
Potem przez środek cmentarza całego,
Przeszedłszy, modły odmówiwszy szczerze,
Skręcają na bok chcąc obejść w około.
Lecz cóż to nagle tłumy ludu miesza?
Każdy z nich w jednę gdzieś stronę pospiesza
Tam gdzie dwie brzozy smutne chylą czoło;
Jakiś gwar powstał — wszyscy posmutnieli
Jakby przy trupiej stanęli pościeli!

To żebrak — stary lirnik z pod cerkiewki,
Tam gdzie przy brzozach cztery krzyże stały;
On dokończywszy żałośnej swej śpiewki,
Ledwie ostatnie jej jęki przebrzmiały,
Położył głowę obok swojej liry,
Ręce załamał — z pod skrzepłej powieki
Dwie łzy opuścił i zasnął — na wieki.
Świadkami śmierci było krzyżów cztery,
Dwie brzózki smutne, z grobów fiołki sine
I Bóg co w niebie przebaczył mu winę.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Rozmaitości.

Niedobra zachęta. W pewnej parafii na Mazurach był kościół bardzo opuszczony. Ani ławek, ani drzwi, ani okien nie było całych. Wszystko poniszczone i wytłuczone, okropny widok przedstawiało. Otóż tedy wójt zwoławszy gromadę, począł namawiać do składki na kościoł, odwołując się ciągle, że swojej fatygi i kieszeni żałować nie będzie, że sam sprawi co do kościoła. Gromada rozciekawiona niezwykłą obietnicą, przyrzekła z wójtem trzymać. Przychodzi niedziela. Wójt niesie kawał patyka białego z uszkiem blaszanem i oddaje w obecności całej gromady księdzu tę laskę, na której kazał wyryć następujące słowa: Ja Matijos, za własny gros, sprawiłem do kościoła gasinos. Roku Pańskiego 1826.

O! iluż to Matijaszow znajdzie się też między nami!

Wincenty z Pokucia.

Zły język. Chwalebna to rzecz bardzo jeżeli nasze gosposie zajmują się w zimowej porze roku przędzeniem, boć też to przecie jedyna rzecz przy gospodarstwie mieć kawał własnego płótna, czy to na przyodziew dla siebie, czy dla dzieci, czy też i dla sług, w zapłacie, nie spuszczając się na kupne kartony, co ani są trwałe, ani ich czysto wyprać można, bo zawsze żółte; a nadewszystko, że za te perkale, kartony i t. p. idą pieniążki zagranicę, do Niemców; oni się bogacą, a my ubożejemy. Ale niektóre kobiety, odwiedzając się z kądzielą, zamiast przyzwoitej rozmowy, albo też spiewu nabożnego, często bardzo tylko plotkami się zajmują. To obmawiają inne we wsi gosposie, niezważając, że i dzieci małe przysłuchują się ich brzydkiej rozmowie, pełnej gorszących słów, to znowu skarzą się na mężów, z czego rodzi się potem nienawiść, powstają kłótnie i bójki. Najgorszy to to na świecie kawałek mięsa zły język; jest to jak igła która ludzi kole, a gdzie kolnie, zapuści truciznę. Zły język, to są ostre nożyce, które ludzką sławę krają. Zły język nie stanie nigdy, ale jak zegar, dzień i noc chodzi. Zły język kąsa bardziej, niż kły wilcze. Mówi jeden z ojców kościoła że przyszedł do niego taki, co odebrał sławę bliźniemu i pytał się jak to naprawić. — Weź pierzynę, odpowiedział mu mąż święty, idź z nią na szczyt wieży, i wypuść pierze, a potem pozbieraj i przyjdź do mnie. Jak to jest niepodobieństwem, tak też niepodobna naprawić tego, co zły język popsuje. Ach! bogdaj to gosposie nasze miały zawsze w pamięci tę naukę, gdy się odwiedzają z kądzielą!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.